BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 23. Niedziela, dnia 9-go listopada Rok 1913

TAK BLIZKO!

(OBRAZEK Z ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO.)

(Ciąg dalszy.)

— Stanisław Bogulik, Ringstrasse 13. Właśnie owdowiał przed półrokiem; żona umarła mu po roku zaledwie pożycia, zostawiając sierotkę, miesięczną córkę — szczebiotała żywa Wiedenka.

Dziewczę, jak trup blade, nie mogąc utrzymać się na nogach, musiało podejść ku krzesełku.

— So sind die Polen!... meine liebe — mruknął w tej chwili, majacząc we śnie, Zawrała.

Po wyjściu damy, dwie kobiety długo w milczeniu patrzyły na siebie.

Nareszcie dziewczę wstało i poszło do swego pokoiku.

Gdy zaś po chwili zajrzała tam biedna matka, zastała Zosię na kolanach, przed swem dziewiczem łożem.

Nad niem wisiał krzyż Chrystusowy i nieśmiertelniki, jeszcze z gór ojczystych przywiezione.

Bolejąca dziewczyna, cała we łzach i w modlitwie, trzymała w rączkach portret i pierścionek, ściskając je konwulsyjnie.

Nagle powstała i, rzucając się Zawrałowej w objęcia:

— Mamo, mamo! — jęknęła — widzisz, a jam go tak kochała!...

Gdy jednak po dniach kilku nadeszły chwile rozwagi, postanowiono bądźcobądź ratować ojca, to jest napisać do Stanisława.

— Ja się mu nie pokażę, mamuchno moja, jak tu przyjedzie! — rzekło dziewczę, gdy jej matka konieczność powołania lekarza wytłumaczyła.

— A to dlaczego? Wszak nic przecie nie masz na sumieniu, owszem, przyjmiemy życzliwie, jak dawniej, nie pokazując po sobie, iż cierpimy z jego powodu.

I biednej Zosi przypadło w udziale napisanie listu do Stacha.

Po długim namyśle, po zdarciu kilkunastu brulionów, posłała wreszcie co następuje:

„Panie Stanisławie!

„Ponieważ od lat tylu nie dajesz nam znaku życia, domyślamy się, iż postanowiłeś zerwać z nami zupełnie. Daruj więc że cię niepokoimy, ale... chodzi tu o ojca, który zaniewidział zupełnie.

„Pewna przejeżdżająca dama mówiła nam o twych zdolnościach i wspominała węgierskiego grafa, którego operowałeś. Że zaś ojca wszyscy lekarze opuścili, udajemy się do ciebie, panie Stanisławie, prosząc czybyś nie zechciał obaczyć nieszczęśliwego i wypowiedzieć o nim swego zdania.

Zofia Z."

W trzy dni nadeszła odpowiedź:

Łaskawe Panie!

Od roku praktyki mej w Wiedniu mam czas policzony, zaledwie więc dwie godziny będę wam mógł poświęcić.

Przybędę pociągiem o jedenastej rano pojutrze, wraz z mym pomocnikiem.

Życzliwy sługa

Stanisław.

Po wymianie tych chłodnych listów, Zosia przez dwie rozdzielające ją od przybycia Stasia noce oka prawie nie zmrużyła.

Co się w jej biednem serduszku działo, wypowiedzieć niepodobna.

Naprzemiany miotana radością i niepokojem, tysiączne, coraz dziecinniejsze robiła plany.

— Jak się ubiorę, co mu powiem?... — Oto myśl, która głównie dziewczynę zajmowała. — Mój Boże! on się ożenił, więc kochał inną, więc wierzył, iż będzie z nią szczęśliwy!... Ma... córkę...

Lecz kochając ciągle niestałego, dozwoliła iskierce nadziei znów wkraść się w serce.

— Owdowiał...

I żywa krasa barwiła blade lice, a lusterko mówiło jej, że jest prześliczną i że śmiało z każdą inną współzawodniczyćby mogła z pewnością.

Na takich marzeniach, trwogach, radościach i smutkach dwa dni błyskawicą przeleciały.

Trzeciego, o kwadrans na dwunastą, zajechała przed dworek doróżka i wysiadł z niej wysoki, dorodny mężczyzna w żałobie. Z nim razem młody student medycyny, pomocnik przy operacyach ocznych.

Ale i Staś zmienił się przez te lata.

Zmężniał o wiele. Wyraziste rysy lekarza zdobiła teraz gęsta broda; tors nabrał pełności; ruchy utraciły niezręczność dawną.

Musiał i on jednak przejść niejedną burzę w ciągu tych lat kilku, bo lice miał bledsze, smutek w spojrzeniu i parę bruzd na zawsze pięknem czole.

Wszedł do pokoju, zostawiając chwilę ucznia swego na dworze, wybierającego z powozu teczki i pudełka z narzędziami.

Nie tracąc swobody i pewności, choć wewnętrznie drżał trochę, jednym rzutem oka objął całą postać ślicznej Zosi.

Pokoik jej był najwidniejszy, tam więc ślepego na dziś umieszczono.

Lekarz zrobił krok naprzód i podał ręce witającym go kobietom.

— Zostanę tu do wieczora, jeżeli chcecie — rzekł półgłosem, wymijając tym sposobem przykre chwile natychmiastowego objaśnienia. — Teraz zaś zajmę się najpierw ojcem waszym.

Wszedł już i pomocnik, wprowadzono ich do przybytku Zosi.

I tu znów jednem spojrzeniem bystrem Stanisław obejrzał wszystko: i fortepian, i książki i śliczną z pamięci rozpoczętą akwarelę widoku gór rodzinnych.

Na obrazku, w dali, widniała w topolach chata gdzie się urodził; opodal kościółek ukochany, w którym modlił się co niedziela; dalej jeszcze znany las jodłowy i zupełnie w głębi wianek gór, po których drapał się tyle razy. Znajomej nawet ścieżki, brzegiem jaru biegnącej, nie brakło na tym obrazku.

Pobladł jeszcze bardziej na ten widok i łzy mu się w oczach zakręciły.

— To ty, Zosiu, malowałaś ten obrazek? — szepnął, biorąc dziewczynę za rękę.

— Ja — odparła ciszej jeszcze, naprzemiany to blada, to purpurowa. Lecz rączki nie usunęła.

Obrócono chorego Zawrałę do światła i zaczęły się oględziny. Staś skinął na kobiety, aby nazwiska jego ślepemu nie wyjawiały.

Po godzinie prób i doświadczeń i zbadaniu przyczyn kalectwa, lekarz oświadczył studentowi, iż może do wieczornego pociągu oglądać miasto, sam zaś pozostał z dwiema kobietami.

Zawrałę, zmęczonego bolesnemi oględzinami do snu ułożono.

— I cóż?... czy jest... nadzieja, panie Stanisławie? — rzekła kobieta, gdy zostały z nim same.

— Jeżeli się nie mylę, to... operacya jest możliwa; stanowczo jednak dopiero za dwa miesiące będę mógł o tem zapewnić. Tymczasem przepiszę lekarstwo. Trzy razy na dzień robić mu zeń okłady, stanowczo zaś wstrzymać się musi od wszelkich wyskokowych napojów. Tylko w razie ścisłego zachowywania mych przepisów za skutek ręczyć mogę.

Zastawiono skromny obiadek.

I Staś, jak niegdyś gdy Zawrały nie było w domu, zasiadł z dwiema kobietami do stołu.

Powoli, bez wymówek, bez wyrzutów, jakby przeszłość snem była tylko, zaczęto niemal wesołą, poufną rozmowę.

— Wiele, wiele mam sobie do wyrzucenia, wiele wobec was zgrzeszyłem, wiele musicie mieć do mnie żalu — rzekł lekarz, spowiadając się z przeszłości. — Gdy dobra jednak wola... zapomnijcie, proszę! Ja to wszystko może kiedyś wynagrodzę.

To szczere powiedzenie zatarło wszystko w pamięci kobiet.

Oczy ślicznej Zosi spoczywały na twarzy lekarza, a choć sobie najświęciej przyrzekła, iż niczem nie da mu się poznać, że wszystko przebaczyć gotowa — wyciągnęła rączkę do towarzysza lat dziecinnych, mówiąc ze łzą i uśmiechem:

— Ja nic nie pamiętam i nie mam do ciebie żalu.

Cóż tak dziwnego? Kochała... a mimo całego wykształcenia, kruczki i wstrętna zalotność miejskich panien były jej obce zupełnie.

— Czy jednak podobna — rzekła pani Zawrałowa — abyś pan, panie Stanisławie, nic a nic nie wiedział, co się na Śląsku działo?

— Nie, pani! Proszę jednak nie nazywaj mię panem, lecz jak dawniej „Stachem" tylko. Nic nie wiedziałem, gdyż... (zarumienił się jak dziewczyna), a potem już wstyd mi było odezwać się i pisać do was. Dalej dwuletnia podróż i smutki, które wam kiedyś opowiem.

Wtedy matka opisała mu wszystko szczegółowo. Uszczęśliwiona zaś, że od lat tylu pierwszy raz widzi swą drogę Zosię promieniejącą weselem, powstała nagle i nim się dziewczę spostrzegło, wyrwała jej prawie z za gorsu obrączkę, z kieszonki zaś pugilares czerwony.

— Mamo, mamo, zaklinam cię — szepnęło dziewczę bez zmysłów prawie i pomieszane uciekło z pokoiku, jak spłoszona łania.

— Patrz pan... patrz Stachu, jak cię ta biedna kocha do dziś jeszcze! — rzekła matka w łzach cała.

Wzięła młodego lekarza za ręce i ściskając je w swoich:

— Ach, zaklinam cię, Stachu, zaklinam na pamięć twej matki poczciwej, na dziecko twoje klnę cię Stachu... nie zabijaj mi Zosi!

Wskazała mu pokoik dziewczyny.

— Wszystko, co tam widzisz, to dzieło przywiązania do ciebie. Usłyszawszy, iż powiedziałeś niegdyś w Cieszynie, że ci żony z miasta wykształconej potrzeba, ufna że kiedyś będzie twoją, lata całe pracowała. Więc Stachu... nie zabijaj mi jedynego dziecięcia!

V.

Miesiąc już, jak używano w dworku Zawrałowej w Opawie lekarstw przepisanych przez Stanisława; on tymczasem wrócił do Wiednia, by znów poświęcić się wzniosłemu swemu powołaniu.

W Wiedniu miał przyjaciela, p. Jana Rymorza, także Ślązaka z okolic Cieszyna, już na piątym roku medycyny.

Obaj, jak to mówią, z dobrego, śląskiego pochodzący gniazda, żyli z sobą jak bracia.

Światły lekarz udzielał młodemu, także wielkiemi zdolnościami obdarzonemu towarzyszowi wszelkiej w naukach pomocy i od roku już obaj planowali, jakby wrócić do rodzinnej ziemi i pracować na własnym zagonie.

Dobra, poczciwa krew ciągnęła obu ku ulubionym górom, w koła braci walczących tak dzielnie z germanizmem.

Raz, wieczorem, poszli obaj odwiedzić cierpiącego towarzysza, mieszkającego czasowo w hotelu pod Czarnym orłem na ulicy Tabor.

Towarzysz, choć nieopuszczający łoża, miał się jednak lepiej i gdy obaj Eskulapowie uradzili, iż mu kropelka śląskiej „warzonki" nie zaszkodzi, posłano po spirytus, miód i świeże masło i młody przyszły lekarz, p. Jan Rymorz, zajął się sporządzeniem napoju.

Nagle w sąsiednim numerze ozwały się jakieś głosy. Z początku szept to był cichy, niewyraźny.

Gdy jednak rozmowa w rodzaj sprzeczki wyradzać się zaczęła, mimowolnie trzej młodzi ludzie części jej wysłucnać byli zmuszeni.

Oba głosy były męskie, a kaleczyły polszczyznę nielitościwie; tylko, że jeden szelmował jak z niemiecka, drugi zaś brzmieniem głosu przypominał ziemię obiecaną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Podanie o różach Najświętszej Maryi Panny.

Jednego dnia odezwał się Anioł Boży do świętego Dominika, twórcy Różańca św., w te słowa: „Sługo Boży, Pan posłał mnie do ciebie, abym tobie oznajmił zdarzenie cudne z ową różą Najśw. Maryi Panny, którą przyjąłeś jako godło Różańca świętego.

Krwawa ofiara krzyżowa spełniła się już była, a Najświętsza Panna trzymała własnie w objęciach swoich martwe Ciało Boskiego Syna, gdy uwagę jej zwrócono, że już czas, aby Syn jej do grobu był zaniesiony.

— O, zaczekajcie jeszcze chwilkę — rzekła ona — niech jeszcze wpatruję się nieco w mego ukochanego Synaczka i zdejmę z podziurawionej głowy koronę cierniową, którą ze sobą chcę zabrać i jako mój skarb przechowywać.

I zaczęła ręką odłączać zlepione skrzepłą krwią włosy, już Matka Jezusa ostatni cierń, który głębiej niż inne utkwił w świętej głowie, wyjęła, opanował ją taki ogrom boleści tkliwej, że czuła się bliską omdlenia. Wtem spojrzy koło siebie i ujrzy, jak z wyjętego ciernia cudownie różyczka wyrosła i zakwitła.

Na widok takiego cudu nabrała Najświętsza Matka nowych sił i zwyciężając nadmiar boleści swego serca, zawołała:

— Bądź błogosławioną, ty ukochana, od krwi mego Syna zaczerwieniona różo, spoczywając odtąd na mojem sercu jako zadatek miłości.

To mówiąc, uszczknęła ową różę cudowną i schowała ją na sercu.

A kiedy zawitał dzień jej chwalebnego Wniebowzięcia, i gdy grób jej otworzono, nic w nim nie znaleziono, jak same róże. Apostołowie podzielili się niemi, by przywodziły im na pamięć cnoty, łaski i dobroć ich wspólnej Matki Niebieskiej.

A że wiedzieli od św. Jana, co się działo na Kalwaryi, zgodzili się wszyscy na to, że róża ma być symbolem i oznaką miłości Jezusowej względem ludzi."

Gdy Anioł skończył swe opowiadanie, ukazała się św. Dominikowi sama Królowa niebios w pełnym blasku chwały swej, ukoronowana gwiazdami i rzekła do niego:

— Przyjmuję zaprowadzenie modlitwy różańcowej, i aby ci pokazać, jak mi to ćwiczenie nabożne jest miłem, daję ci ową różę na Golgocie otrzymaną. Nie obawiaj się jej zwiędnienia, ona w nieskończoności się rozmnoży. Rozdzielaj ją pomiędzy członków twego zakonu, jako też pomiędzy wszystkie ufające i dobre serca, które owych róż zapragną.

Po tych słowach znikło widzenie a św. Dominik uczynił, jak mu Matka Najświętsza poleciła, opowiadając je braciom swoim.

W myśl tej pobożnej legendy zaczęli poświęcać Dominikanie róże, używając prawie tych samych słów, jakie Najśw. Marya Panna raczyła św. Dominikowi objawić.

W formule, którą się do dziś dnia OO. Dominikanie posługują przy poświęceniu tych róż, wyraża się prośbę, aby ci, co tak poświęconych róż używają, od złych nałogów i zasadzek szatanskich uwolnieni zostali.

Poświęcane róże używane bywają przez wiernych w różnych słabościach, w ten sposob, że się choremu kładzie je na głowę, czy też, że daje mu się pić wodę, w której zanurzone zostały. Liczne cudowne uzdrowienia jasno dowodzą skuteczności tego pobożnego zwyczaju, który zresztą Kościół św. pochwalił i zatwierdził.

Ratowanie zaczadzonych.

Powodem zaczadzenia jest wdychanie trującego gazu, zwanego tlenkiem węgla. Gaz ten wytwarza się przy paleniu się węgla drzewnego albo kamiennego, wobec niedostatecznego przeciągu powietrza. Jeżeli drzewo lub węgiel kamienny, którym ogrzewamy piece lub kuchnie, nie zostały jeszcze doszczętnie spalone, a z obawy utraty ciepła zakręcimy klapę lub zasuwkę od rury, prowadzącej do komina, to wtenczas wstrzymuje się przeciąg powietrza, a skutkiem tego wytwarza się tlenek węgla, który dla ludzi jest trujący, jeżeli go wdychają. W potocznej mowie nazywamy gaz ten czadem, a ludzi, którzy się przez wdychanie gazu tego otruli, zaczadzonymi.

Z powodu tego niebezpieczeństwa należy zachować jak największą ostróżność przy zakręcaniu klap lub zasuwaniu zasuwek po wypaleniu w piecach i kuchniach.

Jeżeli opala się drzewem, to nie można rury kominowej zamykać tak długo, dopóki na węglach spostrzegać się daje choćby najmniejszy płomyk niebieski, gdyż jest to wskazówką, że węgiel jeszcze nie spalił się zupełnie, a przy zamknięciu rury kominowej wytwarzać się będzie tlenek węgla.

Używając na opał węgla kamiennego, piece i kuchnie muszą być zaopatrzone w drzwiczki i popielniki hermetyczne, t. j. takie, które po zamknięciu przystają tak szczelnie, że żaden gaz nie może się z paleniska wydobyć na zewnątrz. — Piece, w których się opala węglem kamiennym, nie powinny mieć żadnych klap ani zasuwek kominowych, a wystarczy zupełnie, jeżeli po dobrem rozpaleniu się węgla zamkniemy drzwiczki i popielnik hermetycznie. W ten sposób przerywa się prąd powietrza, a rozpalony węgiel, bardzo długi czas, nieraz 24 godzin utrzymuje piec w gorącym stanie.

Gdyby się musiało opalać węglem w piecach, przy których są klapy albo zasuwy w rurach kominowych, to nie można ich pod żadnym warunkiem zamykać, nawet gdyby się zdawało, że się już zupełnie wypaliło, gdyż przez to narazilibyśmy się na jak największe niebezpieczeństwo zaczadzenia.

W wielu gospodarstwach włościańskich przyjęty jest naganny zwyczaj ogrzewania pieców na noc, przed udaniem się na spoczynek, ażeby przez noc było ciepło. Jest to bardzo niebezpieczne postępowanie, gdyż po wypaleniu mogłoby się zdarzyć, że piec pęknie, a przez powstałą stąd szparę nagromadzi się w izbie tlenek węgla, który dla osób znajdujących się we śnie, mógłby się stać bardzo niebezpieczny.

Oddychanie tlenkiem węgla wywołuje u ludzi zawrót głowy i utratę przytomności, a jeżeli na razie nie pospieszy się z pomocą, następuje nieuchronnie śmierć wskutek uduszenia.

Te same objawy zaczadzenia mogą być spowodowane przy prasowaniu żelazkiem, ogrzewanem węglami.

W lżejszych wypadkach zaczadzenia należy dotkniętego niem jak najspieszniej wynieść na świeże powietrze, twarz spryskać zimną wodą, a równocześnie robić zimne okłady na głowę. Jeżeli zaczadzenie nie postąpiło jeszcze zbyt daleko, to środki te są zwykle wystarczające do przywrócenia przytomności zaczadzonemu.

W cięższych wypadkach tego rodzaju, gdy zaczadzenie trwało już dłuższy czas, np. znaczną część nocy, albo całą noc, a zaczadzony pomimo użycia powyższych środków nie wracał do przytomności, należy bezzwłocznie zastosować sposób pobudzenia do życia według dr. Franka, który polega na następującej czynności:

Zaczadzonego rozbiera się z odzienia górnego tak, żeby piersi i brzuch były obnażone i kładzie się na wznak, t. j. twarzą do góry na przygotowanym poprzednio tapczanie albo dłuższym stole w innej izbie, gdzie niema czadu, albo na świeżem powietrzu. Następnie z prawej strony zaczadzonego staje mężczyzna, wyciąga obydwie ręce, palce zgina ku dołowi i kładzie je na niższej części brzucha (z prawej strony zaczadzonego). Teraz ręce przyciska i wykonuje ruchy od prawej strony nieprzytomnego ku lewej, popychając niejako wnętrzności ku sercu. Gdy już w tem posuwaniu wnętrzności ręce doszły blisko okolicy serca, przytrzymuje się wnętrzności rękami parę sekund, a następnie ręce odejmie raptownie od ciała, wskutek czego wnętrzności posuną się już same w kierunku przeciwnym. I znowu przykłada ręce jak poprzednio i przyciskając, posuwa na nowo wnętrzności ku sercu, jak za pierwszym razem i postępuje tak samo, jak za pierwszym razem.

To popychanie wnętrzności ku sercu musi się powtórzyć przynajmniej 20 razy bez przerwy. Teraz rękami potrząsać dość silnie klatkę piersiową, a przedewszystkiem część jej położoną bliżej serca. Następnie powracać znowu do popychania wnętrzności jak poprzednio i naprzemian do silnego wstrząsania klatki piersiowej w pobliżu serca.

Jeżeli przy popychaniu wnętrzności ku sercu uczujemy pewien opór, to według mniemania dr. Franka jest to objaw pomyślny, i wkrótce potem twarz nabiera koloru naturalnego, pojawiają się drgania i odczuwać się daje słabe bicie serca. — Pomimo tych pomyślnych objawów nie należy ustawać w usiłowaniach powrócenia zagrożonego do życia sposobem wyżej opisanym, a skutkiem tych starań pojawia się puls i oddech, wreszcie zaczadzony otwiera oczy, powraca do przytomności.

Dr. Frank zaleca, ażeby zaczadzonego przynajmniej przez 40 minut ratować powyższym sposobem, nawet i dłużej, a jeżeli w organiźmie zagrożonego tli jeszcze choćby słaba iskierka życia, to można go w ten sposób uratować od śmierci.

O ziołach leczniczych.

Jest przysłowie, że na śmierć nie ma lekarstwa. Znaczy to, że gdy nadejdzie dla człeka naturalny i konieczny kres życia doczesnego, nic go od śmierci ochronić nie zdoła. Natomiast podał nam nieskończenie dobry Stwórca na każdą niemoc, na każdy ból i na każdą dolegliwość lecznicze środki w ziołach. Te siły lecznicze ziół od niepamiętnych czasów są znane i używane. Także nasi przodkowie znali je. Dowodzą to nazwy roślin lekarskich wskazujące poprostu na choroby, które one leczą. Tak np. Macierzanka, Maierduszka, Matecznik używane są na lekarstwa w chorobach macierzystych, Krwawnik w chorobach od zepsutej krwi pochodzących, Płucnica i Płucnik w chorobach płuc. Pomornik, która to nazwa pochodzi od słowa pomór, w chorobach zakaźnych a Żywokost, co żywi niby to kości, goi połamane członki. Inne zaś nazwy roślin wskazują wogóle na wielkie siły lecznicze w nich zawarte, jak np. nazwy: Dziewosił, Dziewięćsił i inne.

Pomówmy najprzód o Macierzance (Thymus serpyllum). Odwar rośliny tej z kwieciem dodany do kąpieli uśmierza bóle brzuszne w chorobach kobiecych i wogóle orzeźwia nerwy i używa się dlatego jako przyparka lub okładka a także do picia przeciw wzdęciu, cierpieniom żołądka i kolce a na pocenie przeciw nieżytowi, kokluszowi (krztuścowi) i gośćowi. Znaleść ją można prawie wszędzie na błoniach, suchych łąkach, trawnikach i na krajach lasów. Odznacza się swym silnym swoistym zapachem, do cytrynowego podobnym, a płoży się na ziemi, niby gęsty trawnik stanowiąc a tylko końcami łodyżek do góry się podnosząc. Łodyżki te od spodu drzewiaste, korzenie pędzące. Liście na krótkich ogonkach, całobrzegie, elyptyczne, na brzegach nieco zawinięte a kwiaty wargowe jasno purpurowe, niekiedy białe stoją w kącikach liści około łodyżek.

2. Maierduszka czyli majeran (Originaum majorana, Mairan). Roślina jest znakomitem lekarstwem w słabościach macicy, w zatwardzeniu i przeciw bólom brzusznym a pomaga też na puchlinę wodną, zastanawia biegunkę i uśmierza ból zębów. Roślina ta, w południowej Europie dziko rosnąca, u nas w ogrodach uprawiana, dochodzi do 40 centymetrów wysokości, jest słabo szaro-piśniatą, łodygę ma gałęzistą, czerwono-brunatną, listki subtelne, elyptyczne, tępe, całobrzegie, naprzeciwległe a kwiatki czerwonawo-białe stoją na końcach łodygi i gałązek w główkach, przylistkami niby gontami pokrytych.

3. Matecznik, rojownik, melisa (Melissa, Melisse). Ziele, tak samo jak poprzednie do rodzaju wargowych należące, do 125 ctm. wysokości dochodzące, z południowej Europy pochodzące, u nas w ogrodach często hodowane, którego liście używane na lekarstwo od matek przeciw womitom (zwracaniu) i bólom głowy. Bierze się pół litra wody a wrzącą naparza się 20 do 30 gramów liści. Tę herbatkę pije się w filiżankach kilka razy przez dzień. Dla miłego zapachu cytrynowego dodaje się także odwar do kąpieli na wzmocnienie nerwów a świeże liście zmiażdżone kładą się na rany od ukąszenia pszczół i os powstałe. Łodyga prosta, gałęzista, na kolankach i zwyż włosista, liście naprzeciwległe, owalne, karbowane i piłkowane, dolne niemal sercowate, kwiaty białawe, niekiedy też czerwonawe, na krótkich ogonkach w kącikach liści na wpół łodygi okółkowo siedzące, ku jednej stronie zwrócone, od pszczół ulubione.

